

L. de Lažre.

Tajemnica „Czerwonego Stawu”.

Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

(Ciąg dalszy).

Z bocznej kieszeni surduta wyjął notatnik, przez chwilę szukał w nim czegoś gorączkowo.

— San Francisco... pierwszy pociąg odchodzi o godzinie siódmej. Powietrze w New-Yorku nie służy mi...

Spojrzał na zegarek. Była godzina szósta zrana. Odświeżył twarz nabrzmiałą od bezsenności spędzonej nocy, zmienił ubranie i zadzwonił na służącego.

— Proszę znieść walizę i sprowadzić powóz — rozkazał.

— Hotelowe powozy stoją gotowe na ulicy, panie poruczniku — odpowiedział służący.

— Mówiłem już, aby mnie nie nazywać porucznikiem — rzucił niecierpliwie nieznajomy. Po chwili nbrany, jak do podróży, schodził ze schodów. Równocześnie otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i wysoki Anglik, któregośmy już widzieli w sali gry, wyszedł ostrożnie i skierował się do windy. W chwili, gdy młody podróżny ukazał się w obszernej sali, Anglik z flegmatyczną miną oglądał rozwieszone tam plakaty i afisze. Po załatwieniu rachunku w portierni, nieznajomy wskoczył do oczekującego przed hotelem powozu.

— Pacific Railway — zawołał do stangreta.

Powóz potoczył się szybko. W tej samej chwili chudy Anglik wybiegł z hotelu i wskoczył do przejeżdżającej dorożki.

— Dziesięć dolarów jeżeli dogonisz tamten powóz — zawołał gorączkowo.

Ale nie było to łatwe. Choć wczesna była bardzo godzina, ruch na ulicach panował ożywiony. Ze wszystkich stron krzyżowały się powozy, dorożki i ciężarowe wozy. Dorożkarz musiał zwalniać biegu w obawie wypadku. Za chwilę jednak obydwie powozy zrównały się. Dorożkarz chciał wyminąć hotelowy powóz, lecz tenże szybko zajął mu drogę. Zniecierpliwiony dorożkarz zaciął ostro konia, który nagle stanął dęba, szarpnął gwałtownie naprzód i zawadził w pędzie kołem o powóz, wiozący nieznajomego. Konie, niespodziewanie szarpnięte, zwały się ciężko na kamienie i powóz ze złamanym dyszlem przechylił się na jedną stronę. Na ten widok Anglik wyskoczył z dorożki i podbiegł zaniepokojony.

— Do stu piorunów! — zawołał. Czy się tam co złego nie stało?

Młody porucznik, silnie potłuczony, leżał na kamieniach. Dwóch nadbiegłych policyantów usiłowało go podnieść.

— Ja sam będę towarzyszyć temu panu — zaofiarował się Anglik. Znam go. To członek amerykańskiego Klubu. Sprowadźcie panowie powóz, a ja zajmę się rannym i odwiozę go do hotelu.

Gdy powóz z rannym zajeżdżał przed Klub, oficer rosyjski, który z Anglikiem przyglądał się grze w sali, znajdował się właśnie u wejścia. Na widok swojego towarzysza, pomagającemu młodemu podróżnemu wysiąść z powozu, odbiło się na twarzy jego silne zdziwienie. Anglik jednak nieznacznie uczynił w jego kierunku ruch uspokajający.

Nazajutrz Rosyanin, Anglik i porucznik zabawiali się rozmową w gwarnych, jasno oświetlonych salach gry. Młody podróżny miał zwichniętą nogę i wyjazd swój musiał opóźnić o dwa dni. Opóźnienie to niecierpliwiło go i denerwowało widocznie. Czemu tu zabić te długie, wlokące się niezupełnie godziny? Nęciła go gra, szczęście jednakże odsunęło się od niego. Pozostało mu z całego majątku tylko dwieście dolarów. Suma ta wystarczała za ledwie na opłacenie kosztów podróży.

— A więc pan zrezygnował już ze szczęścia przy zielonym stoliku — zapytał Rosyanin patrząc na porucznika złośliwym spojrzeniem zielonych, świecących swych oczu.

— Tak, już skończyłem! Dziwny pech mnie prześladuje — odpowiedział zapytany.

— Nie wierzę w stałość pańskiego postanowienia.

— A jednak oprę się tej chęci. Zresztą i tak pomimo zakazu lekarza, jutro już odjechać stowczomuszę.

— Pan się udaje do San-Francisco, nieprawdaż?

— Tak, albo do Sacramento... jeszcze nie jestem zdecydowany.

— Czy będę bardzo niedyskretny, jeżeli zapytam się pana, jaka sprawa tam pana wzywa?

Najoczywiście pytanie to było bardzo niedy-

skretne, bo porucznik zdziwiony i zaniepokojony spojrzał na Rosyanina. Porucznik Steward — choć wiele ciemnych spraw ciążyło mu na sumieniu — nie był, jak to powiadają, zbrodniarzem z profesji, to znaczy, że nie posiadał jeszcze trudnego daru udawania i wysubtelnionej podejrzliwości. Dotąd dziwne szczęście towarzyszyło mu wszędzie. Jako dezertier armii francuskiej, przebywał dłuższy czas w Paryżu, nie potrzebując się ukrywać, a nawet znany był w szerokich kołach jako miły towarzysz nocnych szulerek i zabaw. Szczęście to rozchylało go jednak cokolwiek i dlatego to wołał dla własnego wewnętrznego spokoju na czas pewien oddalić się z kraju, choć nie wierzył w możliwość grożącego mu niebezpieczeństwa.

— Pytanie Rosyanina zaskoczyło go niespodziewanie, lecz zaniepokojenie to rozwiązało się natychmiast, gdy na jowialnej, szczerej twarzy pytającego, nie dostrzegł nic, coby niepokój jego potwierdzić mogło.

— Właściwie jeszcze nie wiem, co tam robić będę — odpowiedział swobodnie. Mam kilka korzystnych interesów na widoku; naturalnie wybiorę najlepszy.

— Zanim jednak wyruszymy w drogę — zaproponował major — czy zechce pan zagrać ze mną partję pikiet. Gra ta nie jest ryzykowna i niebezpieczna, a posłuży nam do zabicia czasu. No, zgadza się pan? Po franku punkt.

— Po franku? I owszem, służę panu — odpowiedział grzecznie młody człowiek.

Po chwili zasiedli do gry.

— Pan jedzie z Londynu, nieprawdaż? — zapytał Rosyanin towarzysza po przegraniu kilku partyi.

— Tak jest, z Londynu.

— Pan Watts wspominał mi, że należał pan niegdyś do marynarki?

— Tak jest. Służyłem w angielskim towarzystwie.

— I zawód ten nie podoba się panu?

— Tak i nie. Lubię morze. Jednakże przyzna pan, że ciągła monotonna podróż między New-Yorkiem a Liverpoolem nie może dać pożądanego wrażenia i zadowolenia. Znudziło mi się już to życie. Przyznam się panu, pragnę bardzo znaleźć korzystne i odpowiadające moim wymaganiom zajęcie.

— A gdybym ja panu to zajęcie zaofiarował, czy przyjąłbyś je pan? — zapytał Rosyanin.

— Zależałoby to od tego, do którego kraju powołałby mnie nowe moje obowiązki.

— Do Rosji.

— A więc pan naprawdę ma coś na myśli?

— Ależ tak! Czyżbym inaczej czynił panu tę propozycję. Ot! widzi pan — dodał major odrzucając karty i patrząc życzliwie na młodego swojego towarzysza. Zajął mnie pan! lubię młodych, energicznych i śmiałych ludzi. A za takiego właśnie pana uważam. Może być, że w San-Francisco wywalczy pan sobie wspanialsze i dogodniejsze stanowisko... ale powtarzam, jeżeli pan mi nie odmówi — to służę panu radą i pomocą w każdej chwili.

Porucznik Steward słuchał zamyślony. Sir Watts zaś, który siedział obok grających, zajęty głęboko czytaniem „Timesa”, nie należał do rozmowy.

— Posiadam parowiec w Odesie nad Czarnym morzem — mówił dalej Rosyanin. Kapitan mój umarł przed niedawnym czasem, mogę więc panu miejsce to zaofiarować.

— Ale czemu mam zawdzięczyć tę szczególną życzliwość pana — zapytał porucznik, niemogąc oprzytomnieć ze zdziwienia.

— Instynktownej sympatii... Pan się mi podobają, to wystarcza... powinien pan być z tego zadowolony.

— Oceniam w zupełności łaskawość pana... Jakież będą warunki mojego nowego obowiązku?

— Otrzyma pan 250 rubli miesięcznie... Sześć miesięcy spędzać pan będzie corocznie na morzu... czasem nawet mniej. No cóż? zgadza się pan?

— Doprawdy, propozycja pana majora tak nagle i niespodziewanie mnie zaskoczyła.

— A więc niech się pan namyśli przez kilka dni i odpowie mi stanowczo.

Mówiąc to major Rakulof zgarnął kilka sztuk złota, leżącego przed nim na stoliku, pożegnał życzliwie porucznika i wyszedł.

— Idziesz ze mną Watts? — spytał już we drzwiach. Muszę się udać koniecznie do konsulat.

Anglik odrzucił czytany dziennik i udał się za towarzyszem. Porucznik Steward pozostał w sali gry. Usiadł na kanapie i zamyślił się głęboko. Czy miał przyjąć propozycję tego nieznajomego Rosya-

nina i wyjechać z nim na zawsze z kraju? Czy nie było to lepsze, niż projektowany wyjazd do San-Francisco? Zmieni jeszcze raz nazwisko i wytlumaczy to czemkolwiek majorowi. Nowe zaś zajęcie, nowe obowiązki, znajomości, uchronią go przed poszukiwaniami ze strony władz wojskowych i cywilnych. Przytem miał już teraz przyszłość zapewnioną, bez tej gnębiącej troski o jutro. Awanturnicze życie, na które był odtąd skazany, zaczęło mu już nieznośnie ciążyć. Czyż mógł się wahać jeszcze?

— No, dalej — szepnął. Trzeba się zdecydować i nie odrzucać nadarzającej się szczęśliwej sposobności. Los podaje mi niespodziewanie deskę ratunku, którą odrzucać byłoby szaleństwem.

W kilka dni później Rosyanin, Anglik i porucznik Steward znajdowali się już na pokładzie okrętu, płynącego do Francji. Major miał zamiar zatrzymać się na dwa dni w Paryżu, a stąd podążać już prosto do Odessy, gdzie miał się zająć zainstalowaniem swego kapitana. Steward skrzywił się trochę na wiadomość, że będzie zmuszony zatrzymać się we Francji, od której radby jak najdalej oddalić się, ale musiał uszanować wolę majora Rakulof.

ROZDZIAŁ XVII.

Serce matki i serce córki.

W dniu oznaczonym do objęcia swoich nowych obowiązków, córka Klemensa Gibier dzwoniła do mieszkanka artystki. Pani Ducret jej towarzyszyła. Murzynka przyszła otworzyć. Twarz miała zmienioną i zbladłą.

— Co się tu stało? — zapytała pani Ducret zaniepokojona. Czyżby przypadkiem zaszło jakie nieszczęście?

Dwie duże łzy potoczyły się po twarzy starej służącej.

— Moja pani jest chora — rzekła wpuszczając do przedpokoju obydwie kobiety.

W tej samej chwili rozległ się głos dzwonka, dobiegający z wnętrza mieszkania. Klara spiesźnie odeszła i powróciła po chwili z wiadomością, że chora pragnie ujrzeć nowoprzybyłe kobiety. Ludmiła leżała w łóżku. Ciężkie przejścia tych ostatnich ośmiu dni odbiły się wyrazistymi śladami na jej twarzy. Było to tylko widmo pięknej niegdyś Kreolki. W twarzy białej, poprzecinanej sinemi żyłami, błyszczały gorączkowo duże czarne oczy. Wychudłe ręce o bladych paznokciach spoczywały na kołdrze i poruszyły się nerwowo na widok wchodzących.

— Pani bardzo cierpi? — zapytała pani Ducret podchodząc do łóżka chorej. Jeżeli rozmowa panią męczy to oddalimy się natychmiast.

Artystka spojrzała smutnie na mówiącą.

— Tak jest, jestem bardzo cierpiąca — rzekła słabym głosem. Niech panie nie odchodzą, obecność pań sprawia mi pewną rozrywkę. W tej chwili mi cokolwiek lepiej, jestem spokojniejsza, ale wieczory i noce są okropne. Gorączka silna opanowuje mnie i opuszcza dopiero nad ranem. Oh! jak ja bym pragnęła umrzeć — mówiąc to artystka rozpaczliwym ruchem zakryła sobie twarz rękami.

Pani Ducret patrzyła ze współczuciem na tę nieszczęśliwą kobietę. Subtelna intuicją kobiety odgadła, że przed oczami jej odgrywa się jakiś cichy i tajemniczy dramat. Pochyliła się z serdeczną czułością nad chorą.

— Niech pani nie rozpacz — rzekła życzliwie. Jeżeli pani pozwoli, powrócimy tu dziś wieczór z córką i troskliwym staraniem zdołamy może przynieść trochę ulgi w jej cierpieniu.

Mówiąc to pani Ducret chciała pożegnać chorą, lecz nagle głuchy jęk wydarł się z piersi artystki. Z oczami szeroko roztwartymi, z rękami wyciągniętymi naprzód, ruchem szalonego lęku młoda kobieta powstała i zdawało się, że usiłuje przemocą jakieś okropne widmo siłą od siebie oddalić. Stara murzynka z okrzykiem rzuciła się ku chorej i drżącymi rękami obejmowała drgające i zziębnięte ciało swej pani.

— Puść mnie, puść, boję się. Ratujcie mnie, ratujcie! — wołała nieszczęśliwa kobieta w ataku nagłej gorączki.

Głuche, urywane westchnienia wydzierały się z jej piersi. Na wykrzywionej konwulsyjnie twarzy widniała rozpacz i lęk śmiertelny.

— Trzeba iść po lekarza — zawołała pani Ducret drżąc i blada ze wzruszenia. Któryż lekarz leczy waszą panią?

— Doktor Verlin, na ulicy Tait bout, Nr. 30.

Pani Ducret wybiegła spiesźnie. Henryetta pozostała przy chorej. Po odejściu pani Ducret cho-